№ 26.
Rok czwarty.

N. PIEKARY ([illegible]charley.)
dnia 29. [illegible]a 1871.

ZWIASTUN GÓRNOSZLĄZKI.

„Zwiastun“ na teraz wychodzić będzie raz w tygodniu to jest w Czwartek Można go abonować na pocztach Państwa pruskiego za 9 sgr. 9 feników kwartalnie, W miejscu u redakcyi zaś 8 sgr. —

W Państwie austryackiem sam „Zwiastun“ 60 centów w. a.
Inseratów prywatnych nie przyjmuje się wcale, wyjąwszy treści literackiéj.

Pogląd na puszczą.

Aby się podnieść do tak wysokiego duchowości stopnia, na jakim stali w ogóle starzy pustelnicy, do tego potrzeba nadzwyczajnego skupienia ducha, i powstrzymania wszelkich działań duszy od zajmowania się przemijającemi i powierzchownemi rzeczami. Gdy wrzawa ludzkiéj mowy zupełnie przebrzmi i całkiem umilknie, dopiero można słyszeć i zrozumieć choćby najcichszy i najłagodniéjszy głos boży, i żeby być w stanie trzymać się mocno i stale jednego, musi pierwéj koniecznie ustać wielość, która rozprasza ducha i świat w ciągłym utrzymuje ruchu. Dla tego ciąg pustelniczy obrócił się na puszcze wschodu: do Mezopotanii, Syryi, Palestyny i Egiptu, gdzie ludzkie osady musiały się ograniczać na pewnych punktach i miéjscowościach, bo tam tylko istnieć i utrzymywać się mogły. Ztąd te olbrzymie miasta wschodu: Niniwa nad rzeką Tygrem, Babilon nad Eufratem, Teby nad Nilem — Teby, których ruiny świątyń pogańskich są tak ogromnie wielkie, że Koliseum rzymskie niknie przed niemi, i kościół świętego Piotra największy w świecie, małym się wydaje, — Teby, gdzie sama jedna karnakowa sala ma 122 filarów, a każdy z tych ma objętości 27 stóp; dwanaście zaś z nich są w obwodzie po 37 stóp grube. Te i inne miasta korzystając z szczęśliwego swego położenia nad wielkiemi rzekami, rozsiadły się szeroko, gdzie było można, po obydwóch brzegach, aby pomieścić w sobie niesłychane mnóstwo ludności. Ile ich miękkość sięga, ogrody ich, plantacye, i co należy do zakresu wielkiego i świetnego miasta, wszystko tam jest w kwitnącéj uprawie. Lecz gdzie ręka ludzka na chwilę spoczywa, ani woda rzeki dochodzi, i suchéj ziemi nie zwilża, tam występuje dziki charakter puszczy, kamienisty lub piaskowy. Taką jest wielka puszcza syryjska, począwszy od Antylibanu aż do Eufratu; na wstępie do niéj leży miasto Damaszek, otoczone niesłychanemi wieńcami sadów, drzew owocowych, gdzie w niezmiernéj obfitości rodzą się włoskie orzechy, aprykozy, oliwki, granaty i figi, bo je dostatecznie nawodnia siedmioramienna rzeczka Barada wypływająca z wąwozów Antylibanu. Dziesięć kroków od jéj koryta — już puszcza! piasek ruchomy! Również piaszczystą jest przeważnie mała puszcza arabska, która się rozciąga pomiędzy Gazą i Kairem, i zajmuje międzymorze Sues; jéj szerokość mierzy się jedenastu dniami biegu wielbłądów, gdy te są codziennie w marszu ośm godzin w przecięciu. Piasek pędzony ciągiem wiatrów na wyżyny, które się ciągną z Arabii aż do Egiptu, jest właśnie tą puszczą, o któréj mowa. Jéj płaszczyzna niewszędzie jest równa, ale miéjscami pofałdowana jakby w niejakie wały, miéjscami niby w pagórki, a nawet w pewny łańcuch górzysty, którego świecący piasek jest tak czysty i gładki jak trupia głowa, a tak głęboki że wielbłądy po kolana w nim grzęzną. W czasie deszczów niezawodnie zbiera się jakaś wilgoć w dołach u podnóża pagórków, gdyż miéjscami stoją pojedynczo grupy drzew palmowych, które naprzeciw żółto-białego piasku odbijają się ponuro i ciemno jak czarnych piór kiście. Jedyna na téj puszczy stacya z dobrą do picia wodą jest przy Katya; gdzie też znajduje się prawie nieodłączny towarzysz wody, a przynajmniéj wilgoci las palmowy; za nim poczyna się nieprzejrzana równina z mocniéjszą ziemią, na któréj tu i owdzie widzieć się dają kolczyste krzewiny, ale wszystkie suche i szare, i to tak precz ciągnie się i ciągnie jednostajnie aż do owego miéjsca w niższym Egipcie, gdzie sztuczne kanały około Nilu są pozakładane. Tu zaś jest tak, że lewą nogą stoisz w puszczy, a prawą w rajskim ogrodzie. Na prawej cytryny, drzewo nabekowe, akacye, płonne figi, palmy, na których liściastych gałęziach huśtają krwawo-czerwone gołębie; trzcina cukrowa, drzewa bawełniane, kukurydza: wszystko to żywo-zielone jak emalia. Na lewéj ziemia martwa, twarda, zwirowata, która saméj sobie zostawiona, nie wydaje ci ani najmniéjszego zdziebła. A co sprawuje tak uderzające przeciwieństwo, znajduje się wśrodku, jestto wązriutki kanał, który jednym przesadzisz krokiem; od niego znów rozchodzą się małe kanaliki i rynny jak arterye wodne. Ziemia jest tak sposobna do wydawania wszelkich owoców, że byle tylko miała parę kropel wody i parę ziarn nasienia, pokrywa się najwspanialszą i najrozkoszniéjszą roślinnością. Niższy Egipt, osobliwie tam gdzie Nil dwoma ramionami tworzy w klin ląd stały, ma ziemię dobrze na-

wodnioną, i dla tego nadzwyczaj urodzajną, i charakter puszczy, jaką była przedtém, jest z niéj całkiem wypchnięty; ale przy Kairze już odzyskiwa swe prawa. Przed wschodniemi bramami tego miasta już jest sam żwir, ziemia pokryta różnofarbnemi kamyczkami i ślniącym się kwarcem, z początku równa, potem jakby pospychana w wały aż do skamieniałego lasu, gdzie drzewa palmowe przez jakieś natury zamieszanie gwałtownie obalone, potem zawieją piasku zasypane, rzeczywiście skamieniały. Na zachód zaś zaraz przed bramami są piękne ogrody, chodniki, plantacye, pola uprawne, drzewa owocowe w niesłychanéj obfitości aż do Nilu, gdzie tenże tworzy wyspę kwiatów Ronda zwaną. Pomiędzy temi dwoma natury biegunami wprost sobie przeciwnemi—otrętwiałą śmiercią: skamieniałym lasem i — najrozkoszniéjszém życiem: wyspą kwiatów, — leży w środku miasto stołeczne Kair, Babilonem egiptskim w dawnych czasach nazywane. Ztamtéj strony Nilu nad powierzchnią niezmierzonéj puszczy sterczy w ruinach miasto grobów praprastarych królów Memfisu i piramidy w różnych grupach, gdy tym czasem samo Memfis, rezydencya Faraonów zamieniło się w nieprzejrzaną okiem niwę, którą pokrywa wiosenna zieleń, las palmowy i niezliczone ludzkie osady.

Im daléj w górę Nilu postępujemy, tem bardziéj uprawa ziemi się zniża, a występuje na wierzch charakter puszczy. Nie można jednak powiedzieć, żeby temu zaradzić nieusiłowano; gdyż dla nawodnienia Egiptu pięćdziesiąt tysięcy czerpaków (Sakich) wołami obracanych dzień i noc są w ruchu, którym niezliczone szadufy pomagają. Szadufy są to rowy, do których woda z Nilu czerpana przez ludzi skorzanemi wiadrami nalewaną bywa, a z nich rozchodzi się daléj rynnami. Jednakże te wszystkie zakłady nie wystarczają dla braku rąk ludzkich. W nizinach nilowych znajdują się miéjscami błota zarosłe rogożą, gdzie bawoły przesiadują stadami; a pomiędzy polem obsianém przenicą, rzepiem, i bobem, które wyrastają na chłopa, leżą w dzikości kawały najurodzajniéjszéj ziemi osuszenia tylko i uprawy potrzebującéj, lecz niedostawa tu ludzi, którzyby tę pracę podjęli. Co zaś samo przez się ma życie w naturze i utrzymanie bez ludzkiéj pomocy, to nosi charakter zachwycający, sielankowy. Wieczory na Nilu w wyższym Egipcie i Nubii, jak opowiadają wschodnie listy ze Stycznia 1844 są nieporównanéj piękności. Wśród dnia jest taki upał i promienia słoneczne odbijają się tak ostro na wodzie, na piasku w puszczy i na górach wapiennych, że się niechętnie opuszcza pokoik statku, na którym się podróżuje po Nilu. Dopiero koło wieczora z rozkoszą wychodzi się na pokład i oddycha lekkiem, łagodném i wzmacniającém powietrzem. Gdy słońce spuszcza się za góry libijskie i znika w szaro-niebieskim cieniu, wtedy promienie światła padając na różnych kształtów chrapowatości gór arabskich, łamią się w tysiącznych kierunkach, i tym sposobem przechodnio odbijają na nich najpiękniéjsze i najżywsze kolory i formy kwiatów, drogich kamieni, motylów. Całe wierzchołki gór błyszczą jak wielkie płomieniste róże, lub ciągną się jedne za drugiemi jak łańcuch ametystowy koloru lila. Jeźli zwrócisz twe oczy na przestrzeń płaszczyzny między temi wzgórzami i Nilem otwartą, zobaczysz prześliczne grupy palm daktylowych, które stoją jakby posadzone niekiedy w mniéj przyjemnych i mniéj regularnych rzędach. Tu i owdzie widzisz nabekowe drzewo z jego delikatnemi gałęziami, albo nieruchomą palmę i akacyą nilową milionami żółtych kwiatów okrytą, które na jéj gałęziach tak wygląda jak maleńkie złote kulki porozwieszane, a wszystkie wydają nieopisany zapach zwrotnikowy; zaś na około nich wiją się ku górze w długich i przyjemnych dla oka zakrętach rośliny powojów niebieskiego i fijałkowego koloru: co się ślicznie odbija w cicho stojącéj wodzie. Atmosferę napełnia wiosenne powietrze balzamicznego zapachu, jaki wyziewają nasze pola i lasy, ale dopiero w Czerwcu, nie zaś jak tu w Styczniu! Bób, łubin, wyka, rzepik, drzewo bawełniane, wszystko to stoi w pełnem kwitnieniu; trzcina cukrowa, pszenica, jęczmień silnie bujają w górę: czarna i tłusta ogrodowa ziemia i ciepło słoneczne ożywiają i pędzą silnie rośliny, gdzie im wilgoci nie braknie. Z krzów akacyi i drzew palmowych rozchodzi się gruchanie i śmiech dzikich gołębi, których się tu mnóstwo znajduje. Na ławach piasku nad Nilem siedzą w gromadach wodne ptaki tu białe jak śnieg, tam znów czarne jak kruki, i ćwierkają lub klekocą swą pieśń jednotonną, którą może przejęły od jednostajnego pluskotania bałwanów o brzegi rzeki. Niekiedy wielka czapla z skurczoną szyją płynie w powietrzu nad lustrem wody, albo pelikan ciężkiem uderzeniem skrzydeł nurza się za rybą, albo nareszcie król ptaków, orzeł wzbija się spokojnie i wolno coraz wyżéj i wyżéj w jasne obłoki nieba, jakby właśnie tam na wyżynach chciał się obejrzeć i jeszcze ztamtąd wpatrywać się w słońce, bo tu na ziemi dla jéj mieszkańców już zaszło; już i różowo-czerwona zorza, którą cała zachodnia strona nieba płonęła, znacznie teraz osłabła, i nareszcie zupełnie znikła w kolorze blado-niebieskim. W téj chwili spojrzałeś ku południu, aliści tam druga wschodzi iskrząca się zorza purpurowa, która pobladłe góry różową maluje farbą i pierwsze wywołuje gwiazdy. Wenus wspaniały już świeci na zachodzie, odważny strzelec Oryon wygląda z pozagór Arabii i powoli mierzy ku górze; późniéj na zupełnym południowo-wschodzie występuje kanopus, którego nie widzimy wcale w Europie. Płyniemy sobie potem rzeką jakby między dwoma niebami: Nil raz się rozszerza jak wielkie jezioro, to znów się ścieśnia jak wązka wstęga, to potem się zamienia w ciemny firmament zasiany milionami drżących łagodnie niebieskich światełek, nakoniec zlewa się z prawdziwym firmamentem. Gwiazdy całym swym majestatem wpatrują się w naszą ziemię, i nie migocą się tak przykro jakby się trzęsły i drżały od zimna, jak u nas podczas jasnych zimowych nocy. Nad brzegami jeszcze długo w noc jest życie. We wsiach teraz w najlepszą palą się ognie. Przed drzwiami domów jest ognisko, gdzie się wieczorem zbiera wszystko co tylko żyje. Tu przygnane z pastwiska trzody owiec i kóz beczą, tu psy szczekają, tu osły ryczą, tu dzieci wrzeszczą, czerpaki skrzypią, męczyzni biorąc wodę z Nilu i lejąc w rowy, do taktu wyśpiewują: „Salam ya salam! pokój o pokój!“ Tu i owdzie echo daleko roznosi ulubioną piosnkę pojedyńczo wracających z pola, tam słychać głośne rozmowy i nawoływania. W owéj stronie przerzyna wodę barka samotna; na niéj czuwa jakiś mężczyzna, który, aby nieusnąć i czas mile przepędzić, dmie sobie w darabukę: (pewny gatunek trąby) Nakoniec tętno życia ludzkiego coraz bardziéj słabnie, gwar już się zmniéjszył, już zamilkł, już powszechna cichość i chłód nocny rozpostarły się wszędzie.

Takie obrazy mamy na Nilu, ale nie zawsze. Roślinność, osobliwie w Nubii, ścieśnia się nad brzegami we wązką pręgę, która bobem zasiana dostarcza mieszkańcom ubogiéj wioski lichego wyżywienia. Gdzie skaliste

ściany i kamienne wały brzegi Nilu obejmują, tam rozumie się, roślinność całkiem ustaje. Miéjsc takich nie mało się trafia. W Nubii puszcza widocznie rośnie wznosząc się nad zwykły poziom, osobliwie od strony Libii tak dalece, że olbrzymie świątynie Abuzambuli powoli znikają w piasku, którego tu coraz więcéj wiatry przynoszą. W okolicy wielkich nilowych katarakt pomiędzy zwrotnikami pod 22. stopniem szerokości, puszcza ma w sobie coś chaotycznego *) z owych czasów, kiedy Duch boży przy stworzeniu świata odłączał żywioły jedne od drugich. Jestto równina bez granic jak ocean, na któréj z żółtoszarego piasku wystaje w kształcie różnéj objętości bałwanów kamień szarawy wapienny. Te bałwany nierównéj piaskowéj ziemi, którą tu wiatr to tak, to inak porozdmuchywał, i w pewne grupy nieregularnie ponazwiewał i te wierzchołki gór, co na ostatnich końcach widokręgu wystają jak chmury, nie czynią żadnéj odmiany na téj niezmiernéj płaszczyznie. Zdaje się, iż oko nasze dosięga samego serca Afryki; ale kataraktów **) nie ma tu śladu! nawet Nil zupełnie znika. Wielbłąd niesie cię powoli aż do tego miéjsca, gdzie owe niekształtne bryły gęsto jedna koło drugiéj leżą. Wdrapawszy się na jednę z nich, stoisz jakby na urwisku skały, a powiódłszy okiem ku południowéj stronie świata, z podziwem zobaczysz tysiące podobnych kawałów skał, które jakby jednym zamachem potężnéj ręki w to niezmierzone piaszczystéj puszczy morze rzucone, tkwią w piasku i w wodzie: tuż leży bryła, tam zaraz kloc wapienny, owdzie kamień, tam znowu skała, w innym miéjscu leży ich dziesięć, sto i mnóstwo nieprzeliczone, a wszystkie szare sterczą jak wyspy na całym widnokręgu, a to co je otacza, nie jest piasek, ale woda, która się toczy szeroko całą obławą, ale dziko, bezkształtnie, i uchodzić się zdaje z wielkim pospiechem w różnych kierunkach gdzie drogę znajduje wijąc się i kręcąc tam i dotąd na około owych skał porozrzucanych. I to jest Nil bez koryta i brzegów; i to nazywamy jego wielkiemi kataraktami. Patrząc na to żywiołów pomieszanie rozumiemy, iż to nie jest rzeka, ale też ani jezioro, bo mu niedostaje czystego lustra wody; jsstto właściwie dzika woda puszczy, która ma tak nieporządny nie już bieg, ale ruch, iż po nim nie możesz rozpoznać zkąd przychodzi ani dokąd ubiega tak dalece, że słusznie rzec musisz, iż ta woda błądzić musi po puszczy; małe tylko i nieznaczne pochylenie ziemi téj niezmiernéj płaszczyzny nadaje jéj kierunek z południa na północ, a od wschodu i zachodu ściskana puszczą nie może się po niéj rozlewać dobrowolnie, ale musi sobie szukać koryta. Tu żadna rzecz nie ma znaku pewnego ograniczenia, ani kształtu, ani koloru. Tu panuje szara jednostajność chaosu i jego nieokreślone zamieszanie. Żółtawy piasek, glinianego koloru woda, szarawe kamienie: wszystko to razem albo się toczy, albo leży, albo się wije albo wryto tkwi jedno w drugiem. Nic odłączonem nie jest. Wszystko pomieszane, rozrzucone jedno przy drugiem, nad drugiem i około niego ciągnie się tak nieustannie, ciągnie i ciągnie odkąd ziemia dzisiéjszą postać przybrała, i tak długo ciągnąć się będzie, dopoki ona ją w teraźniéjszym kształcie zatrzyma. Nad tą przyrodą nie ma człowiek żadnéj władzy: ani wody po téj płaszczyznie rozlanéj skierować według swéj woli, ani toczącego się piasku i skał puszczy nigdy opanować nie zdoła; to wszystko jego siłę i sztukę nieskończenie przechodzi. Jestto ze wszystkich najsmutniéjsza i nigdy przeważnością ludzką niezwalczona puszcza, która jest w ciągłéj robocie i razem w najstężalszém otrętwieniu, i ma do siebie tę szczególną osobliwość, iż żadnym obrazem natury porównać się nie może. — Jeszcze tak dobrą godzinę drogi wiruje woda po pochyłości ziemi ku dołowi. Potem około wsi Wadi-Halfa nikną wyspiaste bryły, i z niemi wszelkie zawady, Nil zbiera się tu w przeznaczone sobie koryto i staje się rzeką.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Chaotyczny pochodzi od słowa „Chaos,“ które znaczy tu pomieszanie żywiołów w jedno ze sobą razem np. woda, kamień, glina, piasek, skała wszystko razem w kupie.

**) Katarakta właściwie jest spad wody taki, że cała rzeka spada prosto z góry na dół jakby np. ze szczytu kościoła. Takie katarakty są na niektórych rzekach w Ameryce.

Ofiara.

(Dokończenie.)

Ofiara na krzyżu była powszechną przyczyną zgładzenia grzechów, ofiara zaś Mszy św. jest szczególną przyczyną, która na mocy wylanéj krwi Chrystusa ten lub ów przywłaszczyć sobie może, śmierć i męka Chrystusa zebrała cały skarb. Ofiara Mszy św. jest kluczem do tego nieprzebranego skarbu miłosierdzia, z którego tyle brać możesz, ile twoja gorącość, pobożność i skupienie ducha z nabożeństwa tego odnieść może i przywłaszczyć sobie, bo nie w ogólności ale w szczególności za każdego Chrystus Pan umierał duchownie, bo umarłszy raz na krzyżu więcéj cieleśnie nie umiera.

Po przeczytaniu prawa; Mojżesz wziąwszy hyzopu pokropił krwią ofiar bydła i cieląt, zmieszaną z wodą, księgę i lud wymawiając słowa: „to jest krew przymierza, które wam Bóg zaleca.“ Równie pokropił namiot i naczynia wszystkie albowiem według prawa wszystko krwią będzie oczyszczone, alboż polania krwią niebyłoby skutku.

To było figurą przelania krwi i poświęcenia czyli pokropienia krwią Boga-Człowieka, przez które gładzą się grzechy: Jeżeli zatem krew bydląt oczyszczała, cóż dopiero mówić o krwi Zbawiciela? która oczyszcza sumienie z grzechów i udziela łask do służenia Bogu wiernie, jak mówi św. Augustyn. „We Mszy św. krew Chrystusa P. przelewaną bywa na zgładzenie grzechów,“ a św. Chryzostom powiada, „Baranek Boży będzie zabitym, ta św. krew płynie na ołtarzu, krew która znajduje się w kielichu jest na twoje oczyszczenie z niezmany strony boku płynąca.

W czasie Mszy św. czerpa kapłan po poświęceniu i przemienieniu wina w krew Chrystusa Pana, krew Jego Najśw. dla jego odkupienia, zgładzenia grzechów i ich przebaczenia dla każdego, ktokolwiek nabożnie słucha Mszy św. Wołają grzechy świata, o pomstę do Boga, którego sprawiedliwość, słuszność, mogłaby go ukarać surowo; ale płynąca krew Zbawiciela codziennie podczas Mszy św. na ołtarzu woła a woła gorąco i błaga Majestat Boski, o miłosierdzie i wstrzymuje gniew Boga, woła o miłosierdzie dla grzeszników. Jak niegdyś Mojżesz kropił lud krwią bydląt, zabitych na ofiarę tak krew Chrystusa skrapia codziennie nie szaty nasze, ale skrapia jak owa rosa niebieska duszę naszą. Skrapia nie tylko sprawiedliwych, ale i grzeszników, i nie jeden dziś królujący w niebie, winien zbawienie swoje płynącéj krwi Zbawi-

ciela na ołtarzu podczas Mszy świętéj któréj nabożnie słuchał.

Msza św. najzacniejsza całopalna Ofiara.

Według praw Mojżesza, żydzi obowiązani byli codziennie dwóch zabić jednorocznych baranków, na ofiarę Bogu rano i na wieczór. W Sabath zaś po dwóch rano i na wieczór a pod nowiem księżyca każdego miesiąca siedmiu baranków, dwa cielątka i jednego barana. W Zielone Świątki i Wielkanoc podobną liczbę codziennie przez dni siedm Bogu na całopalenie dawać musieli. W kuczki zaś przez dni siedm 14 jagniąt 13 cieląt, 2 barany i jednego kozła codziennie. Oprócz przepisanéj liczby, każdy według swego nabożeństwa dobrowolnie sprowadzał woły, cielęta, owce, baranki, barany, gołębie, wino, chleb, kadzidło, sól, placki, oliwę, słowem wszystko co było potrzebne do ofiar. —

Tysiączne te ofiary od stworzenia świata, aż do przyjścia na świat Zbawiciela w porównaniu z jedną ofiarą Mszy św. którą kapłan odprawia, więcéj przynosi Bogu chwały a nam pożytku; aniżeli wszystkie razem Starego Testamentu wzięte.

Tę wspaniałą całopalną ofiarę, dla siebie samego Bóg pozostawił; czcząc zaś Najśw. Maryę Pannę, Aniołów i Świętych Pańskich, nie popełniamy żadnego bałwochwalstwa, bo przez to wychwalamy Boga w Świętych Jego, i dla tego Mszą św, samemu tylko ofiarujemy Bogu a nie Świętym. Prawda że kościół św. na cześć i pamiątkę zasług Świętych pozwala Mszą św. odprawiać, jednakowoż ofiarę samemu Bogu składamy na dziękczynienie; na większą cześć i radość Świętych, aby ci za nami się modlili i wstawiali do Boga.

We Mszy św. wypełniamy służbę Bogu i cześć taką, że większéj już na świecie bydź niemoże, Okazujemy bowiem, że Jego Majestat jest wszechmocny i że jest godnym takiéj ofiary, w któréj nie życie cieląt i bydła się ofiaruje, ale życie i najdroższa krew Jego najmilszego Syna. Co może bydź przyjemniejszego Bogu? jak gdy całe niebo i ziemia wspólnie Jego wszechmocne Bóstwo i najwyższą ogłasza chwałę? to przecież w porównaniu, jaką Chrystus P. okazuje Bogu, za nic prawie poczytane być może. Bóg jako nieograniczona mądrość i niepojęta świętość, Jego Chwała nieoszacowana a skarby nie wyczerpane, wymaga od nas, abyśmy Mu oddawali cześć i chwałę. Bóg przed wieki posiadał sam w sobie chwałę. Bóg Ojciec wysławiał mądrość Syna, Syn dobroć Ducha św., ten znów nieograniczoną wszechmocność Ojca, który stworzył niebo i ziemię, Aniołów, ludzi i wszystkie żyjące stworzenia, aby stósownie do Jego godności Go wychwalały. Aniołowie od swego stworzenia oddają i oddawać będą po wszystkie wieki cześć należytą. Słońce, księżyc i gwiazdy Go wychwalają. „Gdzie byłeś wtenczas mówi Bóg, gdym zakładał fundamenta ziemi, gdy mnie chwaliły poranne gwiazdy i wszystkie dzieci Bogu się kłaniały i uniżały? to jest święci Aniołowie i wszystkie stworzenia, drzewa i rośliny. Słowem wszystko wychwalało Boga żyjące i nieżyjące, tem więcéj człowiek winien się starać, aby w swych Boga wychwalał czynach, a szczególniéj podczas Mszy świętéj, bo ta jest Bogu, najprzyjemniejszą.

Chrystus Pan znając słabość człowieka aby mu przyjść w pomoc w wychwalaniu Boga, na ostatniéj wieczerzy ustanawia na ten cel Mszą św. aby przez nię Bóg codziennie mógł bydź wychwalany, a my do tego jesteśmy stworzeni. W Mszy św. ofiarujemy Bogu Ojcu Jego jednorodzonego Syna, z wszelką chwałą i czcią, jaka na ziemi oddaną bydź może. Podczas Mszy św. sam Jezus Chrystus Bogu się ofiaruje i Jemu oddaje cześć i chwałę, któréj żadne stworzenie oddawać nie może i nie jest w stanie.

Cokolwiek tylko posiadamy, wszystko to mamy od Boga, nie dosyć na tem, że nas obdarzył wszystkiem, ale nadto przysposobił nas sobie na synów, a tem samem jesteśmy spadkobiercami dóbr Jego. Jęczeliśmy w kajdanach czarta przeklętego; zesłał syna swojego na ziemię, który nas zwięzów tych uwolnił, i grzechy świata męką i śmiercią swoją zgładził, a upadłemu człowiekowi, pozostawił Sakramenta święte, jako szczególne środki do otrzymania zbawienia. Dobrodziejstwa te, wkładają na nas ścisły obowiązek składania dzięk Bogu za nie. Że zaś słabość i niedołężność nasza nie jest wystarczającą, przeto przez ofiarę Mszy św, jako dziękczynną ofiarę, najłatwiéj temu zadosyć uczynić możemy; ofiarując ją Bogu jako najprzyjemniejszą, zamykającą wszystkie skarby łask jakich potrzebujemy.

Msza św. ma wielką moc i siłę, albowiem wszystko o cokolwiek prosiemy otrzymać możemy. Chrystus bowiem sam prośby nasze przedstawia Ojcu i błaga z ołtarza za nami. Niemasz bowiem i bydź nie może większéj ofiary i pożyteczniejszéj dla nas, a przyjemniejszéj Bogu nad ofiarę Mszy św., w któréj Chrystus Pan staje się dla nas pośrednikiem u Ojca swojego. „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, mówi Chrystus, o cokolwiek w imię moje prosić będziecie, otrzymacie.“ Jeżeli niekiedy prośby nasze nieotrzymują pożądanego skutku, to mądrość przedwieczna daje w to miejsce daleko dla nas pożyteczniejsze rzeczy, bo mówi Chrystus: „Wierna i gorąca modlitwa, nigdy bez użyteczną nie będzie.“

Człowiek więcéj zawsze jest skłonny do złego jak do dobrego, dla tego kapłan rozpoczynając Mszą św, za siebie i przytomnych wyznaje grzechy i głosi się bydź niegodnym, błaga o odpuszczenie grzechów, i rzeczywiście Bóg téj łaski użycza, że przez Mszą św. przy szczerym żalu i skrusze dostępujemy takowych odpuszczeń; gdyż Chrystus przyjmuje je na siebie i krwią swoją obmywa, których nie znał lub z niewiadomości popełnił, a o których nie wiedział.

Jakób św. Apostoł mówi, „Ofiarujemy Ci o Panie! tę bezkrwawą ofiarę, za nasze grzechy i za niewiadomości ludu.“ Trzeba nam bowiem wiedzieć, że wiele popełniamy grzechów, o których wcale nie wiemy, i dla tego ich się nie spowiadamy, a przecież rachunek z nich oddać musiemy. „Nie pamiętaj Panie, grzechów młodości mojéj i niewiadomości“ mówi Dawid, o których odpuszczenie prosi. Wprawdzie że Msza św. nie gładzi grzechów, ale wzbudza żal i ich obrzydzenie, które Bogu są znane, przeto we Mszy św. błagamy, aby nam darował, ofiarując mu zasługi Jezusa Chrystusa w czasie Mszy św., jak mówi Juliusz Papież Męczennik. „Wszystek ciężar grzechów przez ofiarowanie Mszy św, będą zgładzone.“ To samo otrzymuje kościół święty.

O, jakaż pociecha dla skruszonego i nawróconego grzesznika, że tak łatwym sposobem może ubłagać gniew Boga i szczerą pokutą zgładzić grzechy swoje.

Nie potrzebuje Bóg nic więcéj od grzesznika, jak tylko aby Mu oddał serce i ofiarował zasługi Jezusa Chrystusa.

Grzech każdy ma dwa skutki, ściąga na siebie

winę i karę. Winę przez szczery żal, skruchę i spowiedź gładziemy, a kara pozostaje zawsze, lubo nie wieczna lecz doczesna, którą tu na ziemi albo w czyścu ponieść musiemy. Im ściślejsza i serdeczniejsza jest spowiedź, żal i obrzydzenie grzechów, tem więcéj łagodzi gniew Boski. Nietylko serdeczny żal, ale nadto do przebłagania Boga, służą serdeczne westchnienia, modlitwa, post, jałmużna i inne dobre uczynki, szczególniejszym zaś sposobem jest nabożne słuchanie Mszy św., ofiarowanéj Bogu i zasługi Jezusa Chrystusa.

Najpierwszym zaś warunkiem darowania win, jest obrzydzenie sobie grzechu i mocne postanowienie poprawy życia. Msza św. oprócz przywiedzionych swych skutków, przyczynia się do powiększenia chwały Boga, gdy takowa odprawia się na cześć Najśw. Maryi Panny lub Świętych Pańskich, przez nią bowiem przypominają się ich zasługi w życiu wykonane. Równie nader jest pożyteczną dla umierających, przynosi ulgę i pociechę w cierpieniach i spokojnie oczekiwają ostatniego momentu porzucenia ziemi.

Msza św. wybawia duszę z czyśca i wprowadza do królestwa niebieskiego, przez nię bowiem wypłaca się dług należący się od nich Bogu.

Św. Hieronim mówi: „Za każdą Mszą nabożnie odprawioną wiele dusz wybawionych bywa z czyśca.“

Św. Grzegorz powiada: „Słuchać Mszy nabożnie, wspiera się dusze wiernych zmarłych, i gładzi grzechy ich.“ Ks. P.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Francya, albo wylęże z swego łona chaos na cały świat, albo upadnie do szczętu i już nie powstanie nigdy. Oto w Lyonie aresztowano człowieka, przy którym znaleziono program komunistyczny rewolucyi, który się dzieli na 3 części: najprzód utworzenia tajnego wydziału ocalenia publicznego, druga na utworzenie gwardyi narodowéj (a notabene nie należy zapominać, że rząd dotąd jeszcze nie odważył się rozbroić gwardyi narodowéj w Lyonie, i że to jest obecnie najgroźniejsza siła zbrojna całej Francyi,) trzecia na ukonstytuowanie stałego rządu. Dokument ten dowodzi, że komuna nietylko żyje jeszcze we Francyi, ale postanowiła korzystać z ostatnich doświadczeń i przy nowym wystąpieniu działać z góry przemyśliwanego planu. Pomiędzy podobnemi rozporządzeniami jest téż powiedziano, zniesienie prasy, Niemcom wypłata kosztów wojennych, które mają być pokryte z funduszów ludzi możnych i bogatych, ponieważ ci popchnęli Napoleona do wypowiedzenia wojny, konfiskatę majątków wszystkich kościołów. Osoby któreby nie chciały popierać komuny, uwięzienie pewnéj liczby zakładników, którychby rozstrzelano w razie zaczepienia komuny przez wojska rządowe; przygotowania do walki zaczepnéj z wojskami południowej Francyi, wreszcie jednoczesne wybuchy rokoszu komuny w innych częściach kraju.

Tiers jako naczelnik władzy wykonawczéj miał w zgromadzeniu mowę, w któréj wyraźnie przyrzekł, iż rządu republikańskiego nie opuści i żadnych intryg dobijających się o tron francuzki cierpieć nie będzie, a raczéj, że nie pozwoli na takowe, Wskutek takiego przemówienia, zyskuje p. Tiers na poparciu go ze strony republikańskiéj partyi zgromadzenia narodowego. Daléj powiedział Tiers, że jeżeli zezwolił na powrot książąt, i bytność tych panów staje się coraz groźniejszą, a osobliwie na przyszłość stać by się mogła, to zgromadzenie narodowe, ma w ręku swym siłę i będzie umiało temu zaradzić. Dla tego nie ulega żadnéj wątpliwości, że Tiersowi zostanie władza wykonawcza przedłużona.

Dziwne rzeczy dzieją się zaprawdę w téj Francyi,— szczerzy republikanie popierają rzeczywiście Tiersa, pomimo, że wiedzą dobrze o tem, iż on nie jest prawdziwym republikanem, ale przynajmniéj podtrzymuje republikę, ponieważ tylko taki stan rządu uważa za najstósowniejszy. Wprawdzie ta republika jest bardzo mdła aby się utrzymać mogła, lecz może mieć przyszłość przed sobą, jeźli tylko roztropność weźmie gorę nad gorącemi usposobieniami licznych partyj. Tiers jak może godzi te partye, ucisza namiętności i zdaje się, że po dokonanych wyborach zostanie ogłoszonym prezydentem republiki. Głos opinii publicznéj już się mocno przechyla na stronę jego, i nie które nawet głosy puszczają swe żartobliwe dowcipy i twierdzą. że oświadczonemu patryotyzmowi Tiersa nie pomogą ani pigułki orleańskie, ani pochlebstwa linii Bourbonów, ani papierosy bonapartystowskie z pod Sedanu.

W większych miastach przemysł i handel zaczyna się ożywiać, w fabrykach zaczynają się roboty, a w fabrykach broni mocno pracują, jak gdyby się zanosiło na jaką wojnę. Nie widziemy, co prawda, nic takiego przed sobą, ale w dyplomacyi musi się coś takiego dziać, co nam jeszcze dziś nie może być znanem.

Rządy wymieniają między sobą grzeczności i przyjaźne cnoty dyplomatyczne.

Włochy zwiększają swoje załogi nad granicą francuzką, spodziewają się czegoś i zawsze są w jakiéjś niepewności.

Car Aleksander wizytą swoją powinszował wzwrost fortuny i niemieckiéj ojczyzny.

W Austryi znów Niemcy mocno marzą o przystąpieniu do téj wielkiéj niemieckiéj ojczyzny.

Na wschodzie zaś gotuje się coś bardzo niepocieszającego, ale ostatecznie ma się zakończyć na biednéj Galicyi, bo ta część kraju kole jakoś moskali w oczy. W księztwach naddunajskich niepokój. Taki zamęt tej rocznéj gmatwaniny, iż coś stanowczego trudno powiedzieć, jednak czas wszystko i to wkrótce wyjaśnić musi.

W Lyonie pojawiła się jakaś tajemniczna osobistoć. pod nazwiskiem Garroche, zdaje się przecież, że to nie jest nazwa osoby ale całéj klasy, gdyż na rogach ulic Lyonu porozlepiano plakaty noszące napis: „Wydział powstańczy „des Garroches do Lyon,“ Przybyło także do Lyonu bardzo wielu cudzoziemców a liczba żebraków widocznie się zdwoiła. Wszystkie te oznaki spowodowały rząd do przedsięwzięcia środków ostrożności, ale przedewszystkiem należałoby usunąć prefekta Valentin, kreaturę Gambety, który zanadto jest czerwonym, by mu można całkiem zaufać.“

Z powodu słoty została wielka rewia niedzielna odwołaną. Wojska załogujące na placu Giełdy, w dziedzińcu Palais Royal, w Louwrze i t. d. już się na gwałt sposobiły do tego świetnego przeglądu, w czasie którego miał pan Tiers przemówić do armii a marszałek Mac-Mahon w jéj imieniu mu odpowiedzieć. — Bezustanny od kilku dni deszcz tak dalece zwilżył niedopalone mury, że w wielu miejscach z łoskotem runęły. W okrę-

gu XIII dotąd spokój nie przywrócony całkiem. Dnia 15. b. m. znów raniono przy placu d'Italie dwóch policyantów strzałami z wiatrówek, również artylerzystę na placu Giełdy. Wskutek tych zamachów przetrząśnięto wszystkie domy przy placu d'Italie i aresztowano mnóstwo osób, między innymi kapitana Cardinet, adjutanta Dąbrowskiego; adjutanta Wróblewskiego (zapewne Polaka?) dowódzcę reduty Villejuif; Guenot'a. szefa batalionu 120, adjutanta 1o4 batalionu, jakiegoś Polaka, którego nazwiska „Koelnische Ztg." nie podaje, daléj kilkunastu innych wojskowych komuny, szewca Gautier, który wraz z dwoma synami był adjutantem jenerała Duval, pięć kobiet w ubiorze żuawów i wielu oskarżonych o rabunek kaplicy pamiątkowéj jenerała Brea. Również przeszukiwano 15. b. m. bardzo ściśle domy i mieszkania meblowane na przedmieściach i za rogatkami, szukając prawdopodobnie Pyata i Clusereta, którzy dotąd szczęśliwie się ukrywają. Natomiast obiegała pogłoska, że jenerał Cäcilia dostał się w ręce władzy. — Skoro już mówimy o aresztowaniach członków paryzkiéj komuny, niech nam wolno będzie przytoczyć tutaj kilka ciekawych, choć nieco opóźnionych szczegułów o ostatnich chwilach najznaczniejszego z nich pod względem energii i charakteru, t, j. Delescluza. Otóż, co w téj mierze pisał przed kilku dniami paryzki „Monitor:"

„We wtorek 23. Maja, barykada znajdująca się na rogu ulicy Chateau d'Eau i Petites Ecuries, osłaniająca 10 okręg atakowana była przez wojska liniowe. Po czterogodzinnym oporze musieli rokoszanie, których wersalczycy obeszli od ulic Bouchardon i Boudy, opuścić barykadę, uzbrojoną w działa i kartaczownice. Podczas téj walki Delescluze znajdował się w merostwie. Wydawał z największym spokojem rozkazy i ostatni wyszedł w towarzystwie jednego z delegowanych tego okręgu. Nie pozostawało mu jak tylko z pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu oficerami sztabu, czekającymi na jego rozkazy, cofnąć się do Chateau d'Eau. Tak poszedł Delescluze w cywilnem ubraniu na czele swego suto ugalowanego sztabu, miał na sobie ciemno-orzechowy paletot, w którym go już od kilku lat widywano, czerne spodnie, grubą chustkę na szyi i kapelusz filcowy. W ręku trzymał, rewolwer i według zwyczaju swego szedł prosto i krokiem stanowczym, podczas gdy sztab jego przerażony świstem kul, ciągle oglądał się na punkt, w którym wrzała walka. Udał się najprzód do koszar księcia Eugeniusza, a ztamtąd do domu pod nr. 120 i 122 na przedmieściu Temple, gdzie przenocował, na drugi dzień był w merostwie 11 okręgu, które miało stanowić lewe centrum oporu. W piątek ukazał się Delescluze na cmentarzu Pere Lachaise, gdzie przy olbrzymim grobowcu rodziny Dedów usiłował ustawić bateryę. Przekonawszy się, że na stanowisku tem nie podobna będzie utrzymać się, wsiadł na koń i w towarzystwie jenerała Eudes i pułkownika Brunet powrócił do merostwa, gdzie wszystko przygotowane było do ostatecznego oporu. W sobotę rano resztę barykad na bulwarze Voltaire atakował oddział jenerała Clinchant, podczas gdy jenerał Vinoy bombardował je z tyłu od Bastyli. Delescluze udał się do trzeciéj barykady i najusilniéj pracował nad tem, aby wraz z Brunetem się utrzymać na téj ważnéj pozycyi. Ale po dwudziestu minutach sam Brunet oświadczył, iż jest to niepodobieństwem. Delescluze nie chciał słyszeć o tem i dał rozkaz do dalszéj walki. Ale ogień wersalczyków stał się tak morderczym iż rokoszanie pod okiem ministra musieli opuścić barykadę. Napróżno Brunet usiłował pociągnąć z sobą Delescluzela. Pozostał on sam za kupą brukowych kamieni, które jedne po drugim od strzałów rozlatywały się. Dwa pierwsze strzały, na niego wymierzone, trafiły go w prawą skroń i pierś i od razu o śmierć przyprawiły. Tymczasem zwaliły się na zdobytą barykadę palące się obok domy. Delescluze padł na gorejące belki i z tąd to trup jego, zwłaszcza głowa, całkiem jest spalona."

Billoray wcale nie został rozstrzelany, lecz znajduje się jako jeniec w Wersalu. Zamiast niego rozstrzelano kogo innego, podobnych rysów twarzy. Rzecz miała się tak: Około 2. godziny po południu 26. Maja roznamiętniony tłum otoczył pewnego porządnie ubranego mężczyznę w sali Bourdomaye, wołając: „To Billoray z komuny!" Przechodzący patrol aresztował nieszczęśliwego. Tłum szedł za patrolem wołając ciągle. Uwięziony człowiek protestował, ale hałas zagłuszył jego słowa. Oficer, przed którym był stawiony, uwierzył tłumowi wskazał go na śmierć. „Przysięgam, wołał skazany, że nie jestem Billoray; nazywam się Constant, mieszkam tuż koło Gros-Caillon, poszlijcie tam i wypytajcie się sąsiada. — „Kłamie tchórz!" wrzeszczał tłum. Oficer kazał związać go mocno, gdyż opierał się i po chwili rostrzelano biedaka. Dziś gdy rzeczywisty Billoray jest uwięziony, cała prawda wyszła na wierzch. Rozstrzelany nazywał się rzeczywiście Constant, był ojcem rodziny i nie wdawał się w politykę. Ilu to niewinnych w ten sposób zginęło w czasie ostatnich zaburzeń w Paryżu. Wszakże i rodacy nasi Dalewski i Wernicki rozstrzelani zostali przy ulicy Tournon bez żadnéj przyczyny, gdyż dowiedzionem jest przez świadków, że się zajmowali właśnie czytaniem książek w czytelni pana Mickiewicza, którego także aresztowano w Le Mans, choć wcale w czasie panowania komuny nie był w Paryżu.

Mowa jenerała Trochu nie zadowolniła, jak nawet „Indep. belge" przyznaje, nikogo; mianowicie druga jéj część, w której były gubernator Paryża hojnemi obsypuje pochwałami jenerała Ducrot, podnosi swój plan mistrzowski, a winę jego nie udania zwala na swych kolegów, w rządzie wywołał powszechny niesmak. Cóż dopiero powiedzieć o mowie jenerała Chanzy, który twierdził, że armia orleańska przezeń dowodzona, odniosła przeszło 20 zwycięztw nad Niemcami i cytował bitwy, których ostatecznym rezultatem było zupełne tejże armii rozbicie! Dla prawdziwych przyjaciół Francyi są tego rodzaju plagi prawdziwie bolesnemi bo przekonują ich, że Francuzi dotąd nie wyleczyli się z głównéj swéj wady, przechwałek, a tem samem nie umieją czy nie chcą ocenić swego położenia które im nakazuje uznać przewagę nieprzyjaciela i właśnie starać się mu pracą, jednością i silną organizacyą na przyszłość wyrównać.

Drogi nasz „Zwiastunie!"

Dzieliłeś się z nami smutkiem i żałobą, bądźże też uczestnikiem naszéj radości, któréj ci dokładnie opisać nie mogę,ale niektóre szczegóły, które cię ucieszają a nawet i szanownych czytelników, zdaje mi się, że przecież nietylko u nas była radość wielka, ale wszędzie gdzie słońce dosięga swém światłem, tylko pewnie wypada mi jednak zrobić wyjątek i powiedzieć prawdę, że Polska biedna jest tą szarą kudłatą burką zakryta, przez którą to kochane światło słoneczne tylko wtedy zaświeci, gdy

niedzwiedź zmęczony zasypia, ale obecnie nie spał a nawet wytrzeszcza swe ślepie mocno i cieszy się, że i jego dzieło idzie tak, jak sobie życzy od dawna. Oto kochany „Zwiastunie,“ gdy 15. t. m. dzwony kościelne poczęły swym głosem wspaniałym głosić jubileusz 25letniego panowania Ojca świętego, natychmiast też zaczęły powiewać chorągwie żółto-białe na wieży kościelnéj. W piątek rano dały się słyszeć strzały z mozdzierzy, a lud wierny spieszył na zapowiedziane nabożeństwo, aby Najwyższemu Panu zastępów podziękować, a przytem i prosić Go o utrzymanie nam Piusa IX. jeszcze jak najdłużéj. Nabożeństwo odbyło się jak najsolenniéj, i dopiero wieczorem zajaśniała nasza wierza kościelna rzęsistém światłem ozdobiona, a przytem i transparent przedstawiający Jego świętobliwość, z potrójną koroną a pod nią kielich z którego On Ojcu niebieskiemu ofiaruje i pije cierpienia w sposób podobny jak mistrz Jego, który mu jego nieprzyjaciele dostarczają; tudzież dwa klucze, owa powierzona władza i łaska którą pasie nas owieczki swoje, niżéj zaś był napis: „Tyś jest Piotr! Tobie my życzemy przedłużenia życia, zwyciężenia nieprzyjaciół a w końcu korony w niebie“. O jak piękny widok sprawiało to nasze skromne uczczenie téj osiemnastowiekowéj uroczystości, a do tego jeszcze poczciwi niektórzy mężowie przyrządzili ognie kolorowe, co za radość od wiernego zgromadzonego ludu była, gdy jeden głos wśród tłumu zawołał głośno, „niech żyje Pius IX.“ nie został też ten głos próżnem echem, bo lud przytkroć wołał „niech żyje a jak najdłużéj,“ a szanowny ksiądz Administrator Kałuża przyklaskując w dłonie dodawał więcéj jeszcze radości. Nie mogę przemilczeć kochany „Zwiastunie,“ aby ci też nie opisać téj wielkiéj radości zebranéj dziatwy, która przypatrując się radości swych ojców i matek i całéj téj tak rzadkiéj uroczystości, gdyż jeszcze coś podobnego nie widziała, oddała się też odpowiednio swemu wiekowi zabawie. W niedziele odbyło się też nabożeństwo za przywrócony pokój, a na wieczór ześli się wszyscy wojskowi i landwerzyści, i przy wystawionym popiersu księcia Karola jako ich naczelnego wodza, wykrzyknęli trzy razy hura i rozesli się jak najspokojniéj do domu, bo też Bogu chwała, że u nas pijaków nie mamy, chyba, że się obcy hultaj zabłąka.

W poniedziałek 19. o w pół do dziewiątéj pod wieczór znów się zebrała nasza parafia i w pochodzie tryumfalnym powitaliśmy nam z bożéj łaski i troskliwości księcia biskupa przysłanego nam nowego faraża, wielebnego księdza Józefa Rostek. Ludzie starzy i młodzi a nawet i dziatki cisnęły się przywitać swego pasterza, a skupiwszy się około niego uradowany tą naszą szczerą prostotą przemówił do nas, zachęcając nas do wiecznie trwałéj szczerości i miłości bratniéj. W środę 21. opuścił nas szanowny i pełen czci ksiądz administratór udając się w przeznaczone miéjsce i pomimo, że krótki czas u nas bawił, pozostawił zawsze po sobie bardzo miłe wspomnienie, i spodziewamy się, że i tam będzie umiał sobie zdobyć serca swych wiernych.

Z resztą miły „Zwiastunie“ zabrałem ci dużo czasu, lecz nie szło inaczéj, bo nasze wspomnienia radosne dzieliliśmy *z księdzem administratorem, a drugiego mamy w twéj osobie, bo tobie przypisujemy te festyny, a zatem życzemy ci wszystkiego dobrego niech Bóg będzie zawsze z tobą.

Parafianie Zakrzowa.

Podziękowanie.

Jak ufałem, nie była prośba, którą w imieniu parafii méj ubogiéj do braci rodaków zasłałem, bezskuteczną. Znalazły się serca szlachetne, które litując się nad niedolą naszą na uśmierzenie takowéj kościół binowski hojnymi datkami obdarzyć raczyły. Nie we wszystkiem z biedy wydźwignęliśmy się — o jak wiele jeszcze nam potrzeba! — lecz przynajmniéj potrzebom najniezbędniéjszym można było zadosyć uczynić. — Wszystkim dobrodziejom składam niniéjszém w imieniu parafian moich serdeczne dzięki, prosząc Boga, aby szlachetnym dobroczyńcom stokrotnie wynadgrodzić raczył.

Boenhof p. Rehof 24. Czerwca 1871. roku.

Ks. Drews.

Prawdziwa, niezmyślona pogadanka dwóch piekarzanów,

którzy często z sobą dysputują.

Teofil: Jakóż Janie czytałeś to już twojego „Zwiastuna,“ którego tak serdecznie miłujesz?

Jan: Zapewne, że czytałem — i bardzo wiele ważnych rzeczy się z niego dowiedziałem.

Teofil: Bardzom ciekawy, coś się też mógł dowiedzieć z tego „Zwiastuna,“ który dopiero to opisuje, co niemieckie gazety już dawno zapomniały.

Jan: A cóż, naprzykład te gazety niemieckie opisywały a „Zwiastun o tem, — dopiero potem?

Teofil: Zaraz ci mogę powiedzieć, bom był właśnie w sklepie u Króla i słyszałem, jak czytali w „Haus-Blätter,“ o naszych Piekarach — iż Piekary prześlicznie odprawiały nabożeństwo w uroczystość Ojca św., a nawet w niedzielę tak samo i luminowały, a „Zwiastun“ o tem ani pisknął.

Jan: Mój bracie — Niech tam niemieckie gazety piszą co chcą, „Zwiastun“ nie umie farbować lisów, tylko prawdę każdemu powiedzieć, dla tego snać wstrzymał się o opisywaniu obchodzin uroczystości Ojca Św. w Piekarach, bo musiałby niejednego urazić, więc wolał zostać cicho,

Teofil: A cóżby naprzykład „Zwiastun“ miał do przygany przeciw temu uroczystemu obchodowi w Piekarskiéj gminie? — Przecież zaraz we Czwartek, w wilią uroczystości, wszystkie dzwony kościelne zagrały i przez całą godzinę głosiły rozpoczęcie uroczystego obchodu. Na drugi dzień w Piątek zgromadziły się wszystkie szkoły z swemi nauczycielami do kościoła, oraz lud tak licznie jak w każde święto. Nabożeństwo było solenne z assystą, z wystawieniem Przenajświętszego i z kazaniem. Po południu zaś o godzinie szóstéj dzwony wezwały wiernych do kościoła, gdzie księża zaintonowawszy litanię do Wszystkich świętych, wyprowadzili procesyą na przyległą górę nazwsną Cerekwicę z muzyką, chorągwiami, z wielką porada, i w najlepszym porządku. — Po odśpiewaniu litanii powróciła procesya do kościoła, gdzie zaś odśpiewano „Te Deum laudamus“ i było błogosławieństwo Przenajświętszem Sakramentem.— Nieco późniéj, gdy już się zećmiło, ksiądz kapelan Hergezel stanąwszy na czele ludu, poprowadził go w procesyi zaś na górę Cerekwicę ze świecami, balonikami,

chorągwiami i t. d., gdzie z moździerzy strzelano, ognie palono, i nieco fajerwerków puszczano. Tam odśpiewano parę pieśni i powrócono przed kościół, gdzie tenże ksiądz kapelan miał piękną mowę, poczem kilka wiwatów na cześć Ojca św. chucznym i rozciągłem głosem powtórzono. — A ulica, czy to nie pięknie wyglądała, kiedy przed kilku domami można było po ziemi śpilki zbierać od światła?

Jan: To wszystko jest prawda, — ale czyliż to nasza gmina z kilku domów się składa, która mieści w sobie sześć tysięcy ludności? A nasze Piekary to pod względem religijnym są pierwszą gminą w całem Szlązku, bo tu jest Stolica cudownéj Najświętszéj Królowéj nieba. Dla tego całe Szlązko na te Piekary, zwraca swe oko jak na Matkę swoją. To też wypadało jeszsze inaczéj tę Matkę katolickiego Szlązka przystroić. — Inaczéj to było w Bytomiu i w Gliwicach. — Z Bytomia w pierwszy dzień w Piątek była procesya o milę drogi w Miechowicach, a w Sobotę u nas w Piekarach. A w miejscu, co to za luminacye całego miasta, oprócz żydowskich, masońskich i protestanckich domów, to prawie wszystkie domy były oświetlone. Cały kościół farny, to był jak jedna ognista gwiazda, w lampy ustrojony, muzyka fajerwerki — wystrzałów bez liczby. A ksiądz Proboszcz Schafranek to przeszło za 50 talarów rozdał na pamiątkę parafianom modlitw z obrazem świętego Piotra w więzieniu i Hymn na cześć Ojca św. ułożony podług prześlicznéj melodyi: „Boże coś Polskę“ któréj to pieśni dwa tysiące rozdał ksiądz Proboszcz, lecz żałował, że mu więcéj nie posłano, bo ludzie bardzo radzi ją śpiewali.

Teofil: A dyć i u nas tę pieśń wszystkie dzieci szkolne miały, bo im w drukarni je rozdawano, ale tylko dwie strofki prześpiewali na Cerekwicy — niewiem dla czego tak krótko choć im bardzo pięknie szła. —

Jan: Czy to nie wiesz dla czego?

Teofil: Toć niewiem, tylko coś dosłyszałem, że niewolno. —

Jan: Tak — niewolno — kwoli téj polskiéj melodyi, a potem, że też w téj pieśni było coś o masonach wspomniono, jak to Ojca św. prześladują, a! w kościelnéj pieśni, to nie powinno się nikogo naruszać. — Trudnoć to jest ojca pacierza uczyć, ale mnie się zdaje, że podobne ulegania masonom i niewiernikom, to do tego doprowadziły, że nas katolików teraz za podnóżek sobie wzięli. Masoni nie wstydzą się i nie obawiają publicznie kościoły napadać, profanować, rabować, w kościołach ludzi kaleczyć i zabijać — a my to się mamy w naszych skargach do Boga warować obrażenia tych Jegomościów. — Dotąd istniało grzeszne i głupie przysłowie, że lepiéj diabłu zaświecić dwie świeczki, a Panu Bogu jednę, lecz teraz koniec z tem. — Przyszedł czas, w którym niepodobna dwom panom służyć. — Teraz musi każdy się zdeterminować, czy Bogu, czy czartu chce świeczkę świecić. — Tak też „Zwiastun,“ który nie służy dwom panom, więc musi się nieraz narazić i obrazić nie jednego. — Naprzykład, czy nie powinien „Zwiastun“ i tobie mój Teofilu powiedzieć, że przed samym kościołem mieszkasz, z książkami się obierasz i krzyżem w kościele leżysz. a tak w uroczystość Ojca św. jak na podziękowanie za zwycięztwo, u ciebie było ciemno jak w grobie— wszyscyśmy to palcem wytykali, a tyś musiał wtedy gdzieś w piwnicy się chować, alboś może był w Katowicach w szopie na nauce.

Teofil: A czy ja to tylko sam jeden był w gminie taki? — Wszak było ich więcéj co ani luminowali ani chorągwi nie wywiesili. Dyć Szarlej też do Piekar należy i też tam są katolicy — ba nawet jacy porządni, — a widziałeś tam aby jednę świeczkę w oknie, albo chorągiewkę na domie?

Jan: No! co to, to prawda — i to też każdego bardzo dziwiło, co ci Panowie Scharlejanie porobili, że ani Ojcu św. ani królowi nie luminowali ani chorągwi nie wywiesili chociaż je mają w domu jeszcze — bo drągi dla chorągwi na domach stoją jak jakie dzidy od piorunów, kiedy była wojna, a depesza ogłosiła, że tamgdzieś francuzów Niemcy potrzepali, to zaraz chorągwie się wiewały — i po knajpach aż wrzało i chuczało, co wiwat hoh! krzyczeli, a teraz jak wojna ukończona i pokój przywrócony, a nasz Cesarz-Król nakazał uroczystość i nabożeństwo na podziękowanie Bogu za zwycięztwo, to tak czynią, jak żeby im psi krupy ziedli. Co to ma znaczyć — każdy się dziwi i niemoże tego żaden odgadnąć.

Teofil: Wszak wiesz, że jak kury do jędyków nie należą, tak piekarzanie do Scharlejskich panów. Kiedyby piekarzanie nie byli nic stroili, tobyś był widział, jakby była Scharlej w jasności pływała, ale że Piekary się ustroiły w chorągwie i w rozmaite okazałości, jak w szatę świąteczną, to Scharléj musiała milczeć, bo byłoby jéj ubliżeniem, żeby naśladowała wieśniaków piekarskich.

Jan: Tobym zaś nieprzyznał, bo Scharlejanie niepowinni piekarzanami pogardzać, gdyż w Piekarach tak samo są ludzie porządni jak w Scharlei — ale to będzie insza do tego przyczyna. — Nie jest to tajemnicą, że tam niektórzy panowie są fraimauerami, którzy wszystkiem się brzydzą co jest Boskiego, lub co się dotycze pobożności, przeto o uroczystości Ojca świętego, to już ani gadania, a uroczystość królewska, chociaż patryotyczna, to ich nie interesowała, bo oni niepotrzebują się modlić, ani tam jakiemuś Bogu dziękować, którego ani znają, ani się z nim wdawają, gdyż oni sami są bogami, którym podwładni ich się modlą. Dla tego chociaż tam są niektórzy poczciwi i dobrzy katolicy i patryoci, niemogli jednak żadnych robić okazałości ani dla Ojca św. ani dla Króla Cesarza, żeby swych zwierzchników nie obrazić,

Teofil: Mój Janie, przeciw temu coś tu nadmienił niemogę ci nic powiedzieć, ale podług mojego zdania, to ja sam uważam te wszystkie okazałości i luminacye za niepotrzebne. O tem właśnie ks. Kamieński wiele mówił i w „Prawdzie“ swojéj pisał, że to wszystko wyłżygrosze i niepotrzebne intraty.

Jan: Właśnie, tobie dziwić się muszę, żeś taki świętoszek a do Katowic chodzisz na nauki Kamieńskiego i tak za nim szczerze obstajesz, żebyś się dał zań umęczyć.

Teofil: To zpewnością, żebym się dał umęczyć za prawdę; albożto Pan Jezus nie obiecał korony niebieskiéj wszystkim męczennikom?

Jan: Prawda — ale męczenników za Kamieńskiego to będą diabli w piekle koronować. —

Dobra noc. — Do zobaczenia

Nakładem i drukiem odpowiedzialnego Redaktora Teodora Heneczek w Niemieckich Piekarach

DODATEK „ZWIASTUNA."

№ 26. N. Piekary (*poczta Scharley*), dnia 29. Czerwca 1871. № 26.

Dobry uczynek nie pozostaje bez nagrody.

W jednéj wsi, niedaleko Warszawy, mieszkała uboga wyrobnica, wdowa po uczciwym człowieku, nazwiskiem Wojciechowa. Mieszkańcy téj wsi, jako położonéj blizko wielkiego miasta, nieraz mieli sposobność przypatrzenia się ludziom umiejącym czytać i pisać, ich łagodnemu charakterowi, uprzejmemu obchodzeniu się z innymi, ich wreszcie porządnemu życiu i mieniu, zapragnęli więc, ażeby, chociaż nie oni, to przynajmniéj ich dzieci mogły być takiemi, i postarali się o założenie u siebie szkoły. Dzieci uczęszczające do szkoły, przechodziły mimo domku Wojciechowéj i często spotykały przed nim małego chłopca, zajętego robotą. Chłopiec ten mało im był znany, gdyż nigdy prawie z niemi się nie łączył ani do zabaw, ani do figlów. Tym chłopcem był Kubuś, syn Wojciechowéj. Nie był on przecież zupełnym odludkiem; w każdéj bowiem chwili, w któréj nie miał roboty, widywał się z synem jednego gospodarza, skromnym Jasiem, którego bardzo kochał i lubił się z nim bawić. Ile razy chłopcy mieli powracać ze szkoły, zaraś Kubuś z większą pilnością kończył swoję robotę, żeby prędzéj mógł pobiedz do Jasia, lub gdy Jaś przyjdzie do niego, żeby mógł z nim się bawić. Po każdem jednakże widzeniu się z Jasiem, Kubuś był zamyślony i smutny; często nawet przy robocie łzy mu z oczu płynęły, które nieznacznie ocierał, żeby ich matka nie dostrzegła; ależ która matka nie dostrzeże łez swego dziecka? Widziała je i Wojciechowa; lecz z początku myśląc, że Kubuś płacze dla tego, iż musi tak ciężko pracować, nie chciała go pytać o przyczynę, żeby jego odpowiedź nie zraniła bardziéj jéj serca; starała się więc tylko nie raz ulżyć dobremu chłopcu; ale ten nigdy na to nie pozwolił i jeszcze często z własnéj chęci matkę wyręczał w robocie.

Razu jednego, kiedy Kubuś był smutniéjszy jak zwykle i cichy dotąd płacz jego odezwał się łkaniem; matka przemówiła do niego;

Matka. Moje dziecko, już nieraz widziałam łzy twoje, ale że je ukrywałeś przedemną, nie chciałam pytać się dlaczego płaczesz; myślalam też, żeś się nie najadł, a ja więcéj jeść dać ci nie mogłam i dlatego milczałam. Ale dziś, kiedy z łaski Pana Boga mieliśmy dobry obiadek, a ty jeszcze płaczesz, chcę wiedzieć co ci jest.

Syn. Co wy to mówicie? moja matko! ja nigdy głodny nie byłem; a chociaż też czasem brakowałoby mi co, czy mógłbym narzekać, kiedym widział, żeście mi wszystko oddali?

Matka. Dlaczegóż tedy płaczesz? nie powinieneś z niczem ukrywać się przedemną; bo ja tylko najlepiéj radzić ci potrafię.

Syn. Cóż z tego? kiedy mi jednak nie poradzicie.

Matka. Kto wie, moje dziecko, powiedz mi tylko wszystko szczerze. Mam ja więcéj rozumu od ciebie i co się tobie zdaje tak trudnem, to może łatwo znajdę na to sposób.

Syn. Nietrzeba na to rozumu, moja matko, ale czego innego, czego wy nie macie.

Matka. Pan Bóg ma więcéj niż rozdał; są dobrzy ludzie, którzy nam pomódz mogą. Nie trać nadziei moje dziecko.

Syn. O! ja znam jednego dobrego chłopca, ale on tego nie ma, co ja potrzebuję, bo już dawniéj oddał komu innemu, a ci co mają, to mi darmo dać nie chcą.

Matka. Mój synu, od dzieci nic żądać nie powinieneś, bo te nic swego nie mają; nic też bez wiedzy rodziców, lub opiekujących się niemi krewnych albo przyjaciół, stracić nie mogą. Cóż takiego żądałeś od Jasia, bo o nim zapewne mówisz.

Syn. Nie gniewajcie się tylko na mnie, moja matko, to wam wszystko powiem. Z Jasiem najlepiéj lubię się bawić, bo on taki mądry! Jak zacznie opowiadać różne rzeczy: o Panu Bogu, o świecie, o zwierzętach, o roślinach i Bóg wie o czem, to tak miło słuchać, że się od niego oderwać nie można. Raz pytałem się go, zkąd wie o tem wszystkiem. Odpowiedział mi, że z książki, z którą chodzi do szkoły, Poszedłem z nim do szkoły, żebym się też tylu pięknych rzeczy nauczył, ale mię pan nauczyciel nie przyjął dlatego, że nie miałem elementarza, i że przyszedłem bez waszego pozwolenia.

Matka. Tego więc płacesz, że nie możesz chodzić do szkoły?

Syn. Tego moja matko, bo na elementarz nie macie pieniędzy, i gdydym chodził do szkoły, któżby wam tu pomagał.

Matka. Widzisz moje dziecko, że ci w tem poradzę, kiedy taką masz chęć do nauki: bo Pan Bóg skarałby mię gdybym ci dopomódz nie miała w tak chwalebném przedsięwzięciu. Uzbierałam od naszéj kury pół kopy jaj, sprzedam je kupię ci elementarz, a w domu obejdę się bez ciebie, jak będę mogła. Kiedy przyjdziesz ze szkoły, to mi trochę pomożesz w robocie.

Kubuś upadł do nóg matce i podziękował jéj za zrobioną mu obietnicę; z radością pobiegł do Jasia, powiedzieć mu, że i on będzie się uczył w szkóle; a w tydzień późniéj pysząc się, biegł do niéj z książką pod pachą. Nie potrzebuję wam powiadać, że ten dobry chłopiec bardzo prędko nauczył się czytać, pisać, rachować i nabył potrzebnych do swego stanu wiadomości; bo kiedy kto z chęcią bierze się czy do pracy, czy do nauki, wszystko idzie mu łatwo.

W dwa lata późniéj Jakób wyręczał już matkę w gospodarstwie, a w kilka lat potem ogródek jéj przybrał całkiem inną postać: oprócz kartofli i brukwi, widać było w nim szlachetniéjsze ogrodowiny, jakoto: ogórki, kalafiory pomidory, szparagi i różne włoszczyzny, które Jakób korzystnie sprzedawał w Warszawie, a za wzięte pieniądze, lepiéj, jak dawniéj opatrywał spiżarnie matki i jeszcze przynajmował więcéj ogrodu, a nawet pola na zboże, które obficiéj zbierał, aniżeli jego sąsiedzi, bo starał się korzystać z tego, czego się nauczył za młodu. Patrząc na to wszystko podeszła już w lata Wojciechowa, bardzo się cieszyła i błogosławiła tę chwilę, w któréj pierwszy raz Kubusia wysłała do szkoły. On zaś, chociaż swojem powodzeniem obudzał zazdrość wsi prawie całéj, nie miał

jednak żadnego nieprzyjaciela, i owszem każdy mu dobrze życzył, wszyscy go kochali, wiele nawet liczył prawdziwych przyjaciół; gdyż swojem słodkiem obchodzeniem się z każdym, swoją uczynnością, jednał sobie serca wszystkich.

Mały ów Jaś, który swojem zamiłowaniem w nauce obudził chęć dobrego Kubusia do uczenia się rzeczy pożytecznych, teraz już gospodarz po ojcu, był najszczerszym przyjacielem Jakóba. Doznał on też wielu jego przysług. Z początku zaraz, gdy objął gospodarstwo, zapadł w ciężką chorobę, Jakób doglądał jego domu i roli, tak, iż żadnéj nie poniósł szkody. Później, w czasie pomoru na bydło, wypadł Janowi wszystek prawie inwentarz; znowu przyjaciel jego, który umiał oszczędzać grosz zapracowany, pożyczył mu pieniędzy na kupno wołów i kilku krów. Miły był widok, kiedy Jan, dorobiwszy się na nowo, za pomocą poczciwego Jakóba, odniósł mu pożyczone pieniądze, i w przytomności kilku sąsiadów dziękował mu ze łzami w oczach za wyświadczoną przysługę. Uściskali się serdecznie dwaj przyjaciele, i z słodkiem rozrzewnieniem przypomnieli sobie chwile młodości. Szczęśliwy, kto jéj żałować nie potrzebuje!

Razu jednego, w piękny wieczór jesienny, Jakób zajęty był obieraniem owocu z drzewa, które jeszcze w swojéj młodości zasadził, chcąc stwierdzić doświadczeniem to, co mu w szkole opowiadał nauczyciel o sadzeniu drzew. Trudno wyrazić z jak miłem uczuciem wykonywał tę pracę, rozważając jak ciężko byłby musiał dziś pracować na lichą może strawę, gdyby w młodych swoich latach nie był się nauczył niczego więcéj, prócz rąbania drzewa, młócenia i tym podobnych ręcznych robót. Wtém zwrócił jego uwagę długi wóz, całkiem kryty, rosłemi końmi zaprzężony i dość spiesznie toczący się po twardéj drodze ku Warszawie. Takie wozy nie są u nas używane, a dawniéj rzadziéj jeszcze można je było widzieć niż teraz. Jakób przypatrywał mu się ciekawie, gdy wtém spostrzegł, że dość spory tłómoczek, czy zawinięcie, wypadło z powozu. Zaczął wołać z całéj siły na jadących, ale ci, siedząc w wozie przykrytym, słyszeć go nie mogli. Przybiegł więc do tego, co wypadło, i znalazł małą skrzyneczkę, mocno żelazem okutą i bardzo ciężką; domyślił się zaraz, że w niéj muszą być pieniądze i podziękował Panu Bogu, że się nie dostały w ręce nieuczciwego człowieka, który bez żadnego może skrupułu, myśląc, że mu to Pan Bóg dał, byłby je sobie zatrzymał, i biednych ludzi pozbawił jedynego zapewne sposobu utrzymania. Jakób niedługo się namyślał co ma zrobić, i znalezioną skrzynkę odniósł do sołtysa, któremu rzecz całą opowiedział i przy świadkach opisał wszystko jak się stało, z tą w końcu uwagą, że jeżeli za parę dni nikt się nie zgłosi po tę zgubę, odesłaną zostanie do wyższéj władzy. Lecz w kilka zaraz godzin, przyjechał tym samem wozem człowiek w średnim wieku do wsi i z płaczem pytał się każdego, czy nie znalazł skrzyneczki w żelazo okutéj, która przetarłszy wasąg, wypadła z wozu, i która zawierała cały jego majątek, jedyny sposób utrzymania żony z trojgiem dzieci. Obiecywał znalazcy wypłacić zaraz sto talarów. Wypadek ten rozniół się prędko po wsi i ktoś świadomy czynu Jakóba, zaprowadził podróżnego do sołtysa. Z łzami wdzięczności dziękował uradowany właściciel skrzynki poczciwym ludziom, a dla Jakóba wyliczył z niéj sto talarów; lecz ich Jakób nie chciał przyjąć mimo usilnego nalegania podróżnego, który ujęty tym szlachetnym postępkiem, rzekł popsutą polszczyzną (był to Niemiec) te prawie wyrazy: „Daruj poczciwy człowieku, że chciałem pieniędzmi nagrodzić czyn, który tylko w sercu znajduje nagrodę; poznaję teraz dlaczego moi ziomkowie tak chęnie przenoszą się do tego kraju; bo gdzie tak szlachetni mieszkają ludzie, tam nie łatwo można zostać ubogim. Ale i my jesteśmy rzetelnymi: obiecałem z téj skrzynki sto talarów dla znalazcy, nie mogę więc zatrzymać ich sobie. Proszę zatém pana sołtysa, ażeby tę sumkę przyjął na potrzeby gminy, lub jakiego dobroczynnego zakładu." Uściskał po raz dziesiąty wszystkich i spieszył pocieszyć zmartwioną żonę z dziećmi, a Jakók pamiętając, jak trudno było mu chodzić do szkoły, zaproponował, ażeby te pieniądze umieścić na hypotece, a procent od nich przeznaczyć na odzież i książki dla najbiedniéjszego we wsi chłopca, któryby miał ochotę uczyć się w szkole. Przyjęto ten projekt i Jakób nie jednę w swém życiu miał pociechę z ludzi, którzy mu swoję naukę i swoje powodzenie byli winni.

Widzicie więc, kochane dzieci, że dobry uczynek, chociaż późniéj, bywa jednakże wynagrodzonym. Jaś, że nie chodził z innymi chłopcami na figle, ale dobremu Kubusiowi dał uczuć powab nauki, nietylko że nie darł sukien i nie był łajany, ale jeszcze zyskał przyjaciela, ktorygo potém od ostatniéj może uratował nędzy. Wojciechowa, dopomógłszy synowi do nauki, chociaż pozbyła się wyręczenia w pracy, żyła potém swobodnie i umarła spokojna o los swego syna. Jakób zaś za swoje dobre uczynki był kochany od całéj gminy i nieraz najsłodszéj w sercu doznawał radości, która potrafiłaby go cieszyć i w największym smutku, jeżeliby Bóg Wszechmocny dopuścił jaki na niego.

DONIESIENIA POLITYCZNE.

Prusy. Berlin, 27. Czerwca. W dniu kiedy wojsko swój marsz tryumfalny odbywało do stolicy, cesarz i król własnoręczne pismo przesłał feldmarszałkowi hr. Wrangelowi i nadał mu, jako najstarszemu i najwyżéj postawionemu jenerałowi z czasów Fryderyka Wilhelma III. oznakę, która ma światu pokazać, jak syn pragnie wynagrodzić wzorowe usługi, jakie jego ojcu wyświadczono. Oznaką tą są brylantowe insygnia do gwiazdy i krzyża wielkich komutrów orderu domowego Hohenzollerów. Z tych 4 milionów talarów, które zostały cesarzowi przyznane ma być jedna czwarta część już rozporządzoną kto ile ma dostać, i tak prezydent urzędu kanclerskiego, saskiemu ministrowi stanu, bawarskiemu ministrowi stanu i jednemu z wyrtemberskich mężów stanu. Z pozostałych zaś 3 milionów połowa rozdaną zostanie tym jenerałom, zwyjątkiem książąt krwi, którzy samodzielnie prowadzili armię, druga połowa użyta zostanie dla tych jenerałów i wyższych oficerów, co się odznaczyli świetnemi czynami. Z jenerałów są hr. Moltke, Werder, Voigts Reetz, Blumenthal, Striehle, Manteufel, Manstein i inni. Ogólna liczba podaną jest 14, a najniższa dotacya ma wynosić 150 tysięcy talarów.

Pomiędzy Zschortau a Rackwitz na kolei żelaznéj wydarzył się smutny wypadek. Wagony kolejowe zapełnione sztabem 6. brygardy i żołnierzami batalionu pułku Nr. 2 wyleciały z szyn, zpowodu, iż się złamała oś jednego francuzkiego wagonu, przy któréj to nieszczęście na miéjscu zabitych zostało dwóch podoficerów i 21 żołnierzy a rannych jest 41 i jeden oficer. Nie zginęli ci biedni na wojnie, ale w powrocie swojém po tych tru-

dach i ciężkich chwilach wojowniczych, ta radość z którą wsiadali na kolej i wkrótce oglądania swoich krewnych i miłych osób, jak przykrą będzie ta nieszczęsna nowina dla tych co się i w domach cieszyli zobaczenia swych synów lub mężów, z pewnością będzie bardzo bolesna.

Francya. Po tych pożarach w Paryżu, taki zapanował przestrach w wszystkich wielkich miastach, iż te okienka udzielające światła do sklepów i piwnic każą właściciele zamurowywać, aby ręka zbrodnicza nie miała sposobności tam wrzucać palnych przedmiotów, lub też jeżeli się takowe tam znajdują, ognia do nich podrzucać.

Wracający Niemcy do dawniejszych swoich rzemiosł lub tutejszych magazynów stają się bardzo popularnemi, gdyż nazwiska ich i adresa są ogłaszane na wszystkich rogach ulic, w przechodzie można więc czytać, że pod numerem N. N. ulicy téj a téj zamieszkuje Prusak.

Ma się rozumieć, że taka uprzejmość zmusza Niemców do cicho siedzącego truski w domu, i bijącego palcami w stół myśląc wo ist besser.

Pomiędzy rozstrzelanemi Polakami, znajduję się i Wł. Stawiński, który był urzędnikiem banku prywatnego, a za czasów oblężenia pruskiego służył jako kapitan gwardyi narodowéj i który odznaczył się w kilku wycieczkach. Za czasów komuny był wyższym oficerem i został rozstrzelanym w ogrodzie Lukxemburskim. Pułkownik który go skazał na śmierć pozwolił mu przed śmiecią napisać list pożegnalny do matki. Brat rozstrzelanego Wiktor były adjutant Roszebruna za naszego powstania, wstąpił do legii zagranicznéj jako prosty żołnierz, był w wielu bitwach i odznaczył się pod Orleanem, gdzie został nominowanym oficerem. Tak też i Kazimerz Michałowski po upadku komuny w czasie jakiejś rewizyi został przeszyty szpadą przez oficera, a żolnierze dokłuli go bagnetami. O,Byrn Grzymała, o którym dziennik wspomina, był kapitanem w oddziale Moegard, pod Sedanem wzięty do niewoli, potrafił się tam wydobyć, a powróciwszy został pułkownikiem w korpusie jenerała Fracolli, został aresztowany przez wersalczyków jak najniewinniéj i przesiedział 10 dni miał być rozstrzelany, ale winien ocalenie swoje oficerom francuzkim, którzy go znali i wstawili się za nim.

Tiers napiera na zgromadzenie narodowe, aby nie zwlekało nadania mu prawa ułaskawienia zpomiędzy uwięzionych, bo jak utrzymuje, iż jest bardzo wielu pomiędzy temi tylko przez mowy klubowe obałamuconych, i już 18. młodych rekrutów ułaskawił, którzy byli wskazani na rozstrzelanie. Deputowany Jaubert zrobił wniosek, aby wszyscy zagraniczni nie tylko paszport opłacali, ale i za prawo przebywania w kraju płacili. Komissya na ten cel wybrana dopiero, albo odrzuci, albo potwierdzi zdanie Jauberta.

Gwardya narodowa w Paryżu zostanie zupełnie zniesiona, wojsko nie ma tam stać wcale, bo takie miasto nie powinno być miastem garnizonowém, ale za to będzie powiększona liczba policyantów, a wojsko będzie stało w koszarach za miastem i fortach, bo jak dowodzą niektórzy, że nawet będzie lepsza karność w wojsku i nie taka demoralizacya (to mają bardzo słusznie p. r.)

Pomiędzy różnemi wiadomościami piszą, że Markiz Pire zasekwestrował meble na folwarku swego dzierżawcy, zpowodu, że nie ma od niego gwarancyi innéj, a tym dzierżawcą jest, oto Napoleon Eugeniusz Józef Bonaparte, który przed kilku miesiącami nosił tytuł cesarskiego księcia, a obecnie nie jest nic więcéj jak tylko obywatel francuzki bez profesyi. — Gazeta „La Vérite“ wzywa Francuzów, aby byli trochę odtąd skromniéjsi i uczyli się od sąsiadów tego, czego jeszcze nie mają, a korzystać z tego co uważają za lepsze. Jeńców ciągle wyprawiają na statki, które ich mają przewieść na wyspy odległe.

Na arcybiskupstwo paryzkie, ma najwięcéj widoków ksiądz la Tour'd Auvergne rodem alzatczyk. Książęta synowie Murata powrócili z niewoli niemieckiéj do Wersalu, i oddali się ministrowi wojny do dyspozycyi.

Paryzki korespondent do angielskiego dziennika „Globe“ opowiada jeden z wypadków, jaki się wydarzył w Paryżu przy sumaryczném chwytaniu ludzi i ich arestowaniu. W kilka dni po upadku komuny, jeden z członków zgromadzenia narodowego przez ciekawość poszedł zobaczyć kobiety uwięzione. Zaledwie wszedł na dziedziniec, gdzie znajdywało się od 200 do 300 kobiet, jedna z nich w brudném odzieniu porwała go za ramię, wołając: „panie, nie powinieneś mnie opuścić.“ Tak zalarmowany członek, starał się od niéj uwolnić, ale ona trzymała się go mocno i wciąż krzyczała: „Na miłość Boga, nie opuszczaj mnie pan, spojrzyj pan na mnie!“ Członek spojrzał na nią i zdumiony wykrzyknął: „Miłościwy Boże! Pani tu, w tém miéjscu?“ Była to bowiem jego przyjaciółka, kobieta z zamożnéj rodziny paryzkiéj. Wtedy rozpłakała się ona i powiedziała całe wydarzenie. We wtorek, 25. Maja, gdy walka koło jéj domu się skończyła, wyszła ona na chwilkę do farbiarza dowiedzieć się o rzeczach oddanych do farbowania. Gdy wychodziła z magazynu, uciekały ulicą kobiety, za któremi gonili żołnierze z okrzykiem: „Trzymajcie to są podpalaczki!“ — Kobiéty otoczono i ją razem z niemi przytrzymano, niezważając na wszystkie jéj przedstawienia i powoływania się. Prowadzono ją razem z innemi do Wersalu. Musiała odbyć tę wędrówkę pieszo, a wycierpiała przytem wszystkie okropności, o jakich trudno mieć wyobrażenie, doznała męczarń, pragnienia, głodu, utrudzenia. W Wersalu nikt nie chciał jéj słuchać, nikt nie wierzył jéj słowom, a przesłać do krewnych wiadomość o sobie nie miała żadnéj możności. Ma się rozumieć, że znajomy jéj członek zgromadzenia narodowego postarał się o natychmiastowe jéj uwolnienie. I gdyby nie ten szczęśliwy wypadek, dama owa zamożna powędrowałaby z pewnością na wygnanie do kolonii. Powiada ona, iż jest mocno przekonaną, że podobny wypadek, jaki ją spotkał, nie był wyjątkowym, i że wiele kobiet ucierpiało bez żadnéj zgoła przyczyny. Mówi z przerażeniem o tem, czego doświadczyła w więzieniu.

W wielu dziennikach niemieckich znajdujemy wzminkę, iż wiadomość, jakoby w Paryżu zaniechano już sumarycznych rozstrzeliwań, wcale nie jest uzasadnioną. Dnia 16. Czerwca na cmentarzu Pére-lachaise rozstrzelano od razu 140 osób.

Tiers odszukał znaczną część swojéj ruchomości Ducondruy, któremu polecił skupywać meble i dzieła sztuki, zwrócił się do jednego z członków komuny, a ten mu wskazał, komu odprzedano meble Tiersa. Semerie znowu uratował bieliznę Tiersa. Jemu, jako naczelnemu lekarzowi ambulansów, oddano bieliznę, a on zachował ją i oddał Tiersowi, czem od prześladowania się uwolnił

W Paryżu codziennie spodziewają się zniesienia stanu obleżenia, ale jak dotąd naprόżno. Rząd wie dobrze, iż wielu komunistów ukrywa się dotąd w stolicy i ci nie zaniechali jeszcze myśli o zemście. Dzień nie przecho-

dzi, by całemi oddziałami nie wyprowadzano z miasta uwięzionych. W Belleville codziennie wykrywają broń i materyały palne. Wszystko nie pozwala znosić stanu oblężenia.

Zgromadzenie narodowe w Wersalu jedno-głośnie uchwaliło pożyczkę, aby Prusaków wypłacić i pozbyć się tych gości z kraju. Z całego świata już się pozjezdzali bankierowie do Wersalu a nawet i z Prus, aby już stanowczo o warunkach pomówić i ułożyć. Tylko londyjscy wstrzymują się trochę, bo się obawiają nowych jakichsiś zaburzeń, a osobliwie téj partyi klerykalnéj, która bardzo silnie agituje na rzecz swego wybrańca i która to partya nie uważa na klęski jakie spotkały Francyą, tylko popycha ciągle i podburza do wojny z Włochami, aby pozwycięženiu Włoch oddać Ojcu św. jego zrabowane dobra. Nawet pod panem Charette znanym legitymistą, zaciągają się ochotnicy do szeregów, którzy chcą Włochy najprzód zaczepic, a przynajmniéj niepokoić aż Tiers wystąpi otwarcie. Prawda jest, że Tiers nie jest przyjacielem jedności włoskiéj, a zatem na te różne manewra i tworzenie się ochotników patrzy przez niby to blade okulary. Ale podług nas, to sądziemy, że to są obawy przed wcześne, bo położenie Francyi jest w obecnym czasie bardzo krytyczne, ona przedewszystkiem zmuszona jest myśleć o swoich własnych urządzeniach w kraju i reorganizacyi. Wybory które mają ustąpić w całéj Francyi do ustalenia nowego rządu, sprowadzają wiele agitatorów jak to już nadmieniliśmy w poprzednim numerze, ale jak się dziś już pokazuje, że Napoleon co dzień więcéj znajduje przeciwników. Główna walka wyborcza będzie się toczyć pomiedzy orleanistami a republikanami a która stanie górą naprzód trudno donosić. Zdawało się, iż wojska wersalskie pokonawszy komunę paryzką, zacznie się we Francyi błogi czas, że wszystko pójdzie spokojnie jednem słowem jak splatka, tym czasem ciągle wisi chmura nad tą krainą i spuszcza zagrażające nowe jakieś niepokoje. Zgromadzenie narodowe pod wpływem zbrodni paryzkich, które zagrażały całéj Francyi, które musiało być pokonane w jakikolwiek sposób, i zdawać się należało, że tak bolesne klęski, już zakończone. Ale nie! Jakieś nieszczęśliwe fatum, jakieś nieubłagane przeciwności się wylęgają, oto znów w armii francuzkiéj panuję wzburzenie i zdaje się, iż jedni chcieliby obalić rzeczpospolitą, a drudzy chcieliby już widzieć wprowadzoną wojskową dyktaturę, pod naczelnikiem któréjkolwiek bądź zgłaszającéj się głowy dynastycznéj. Tu znów niedobitki komuny organizują się śmieléj, a parci nieograniczoną zemstą przeciw wojskowym, za nieubłagane srogości pepełnione, skupiają się w silną potęgę jakiéj jeszcze nie było, pod chasłem stowarzyszenie Internacyonale (międzynarodowe.)

W zgromadzeniu narodowém partya monarchiczna występuje śmiało, a partya republikańska nie myśli ustąpić i tem pewniéj się odzywa, iż ma za sobą prawo poprzedniéj uchwały jeszcze z Bordo. Nie ulega wprawdzie iż nowe wybory które się będą odbywać 2 Lipca, mogłyby położyć koniec tym różnym zawikłaniom, ale potrzeba, aby wybory padły po jednéj myśli, to jest aby się stały niewątpliwém tłomaczenien trzetelnéj opinii kraju. W takiem razie tylko musiałaby jadna partya przez drugą ustąpić. Chcąc Francuzom dobrze życzyć, to radzić im tylko można, aby się wzięli energicznie do wyborów i takowe starali się przeprowadzić w duchu republikańskim, bo ta tylko może ich ocalić od nowych klęsk i zupełnego upadku.

W „Tygodniku Katolickim" wychodzącym w W. Księstwie Poznańskim znajdujemy opis cudu w Rzymie, i świadectwo żyda Arbiba, co też czytelnikom „Zwiastuna" dosłownie udzielamy.

Nie raz się dzieje, że wzruszenie momentalne zmusza niejednego do wyznania tego, czegoby w innym razie z uprzedzenia nigdy nie czynił. W takiém położeniu znajdował się żyd Arbib, redaktor *Liberty*. Idąc przez plac św. Chryzogona na Transtevere spostrzegł ogromny tłum ludu przed kościołem tego świętego. Tłum ten przyglądał się obrazowi Matki Boskiéj, która oczy otwierała. Ciekawy, jak każdy gazeciarz, zbliżył się i jak wszyscy mimowoli patrzał i on na obraz malowany na ścianie, wyobrażający Naśw. Pannę ze spuszczonemi oczyma i klęczących po jéj bokach Ojca św. i świętego Chryzogona, do którego twarzą jest trochę zwróconą. Na raz powstał ogromny krzyk: miracolo! miracolo! Matka Boska znów otworzyła oczy i zwracała je ku Ojcu św. Wszyscy, którzy to widzieli, napisali w zakrystyi swoje nazwiska, by jeźli potrzeba będzie, i przysięgą stwierdzić prawdziwość faktu. Między nimi był i żyd Arbib. Świadectwo jego jest tém wymowniéjsze, im większą dotychczas wściekłością się odznaczał przeciw regili katolickiéj. Wstyd mu zapewnie było, że jako liberał i żyd do tego położył w księdze świadectwo, że widział cud, więc zrobił zwrot i dnia następnego w gazecie, którą redaguje, oświadczył, *że jemu się tylko zdawało, że to było złudzenie*. W dniach następnych cud się powtarzał i raz nawet bersalier chcąc tłum rozpędzić, przed kościołem szydził z łatwowierności ludu i bluźnił Matce Najświętszéj, lecz wtem i on zobaczył ten sam cud i natychmiast zemdlawszy, upadł na ziemię. Na drugi dzień przyniósł dwie świece i zapalił przed obrazem. — Rewolucyonistom coś podobnego wcale się nie podoba — i aby wiernych odstraszyć, obraz ten ohydnie w nocy obrzucono błotem. Lecz skutek był przeciwny — bo teraz większe jeszcze tłumy się zbierają przed obrazem, już nie jako widzowie, lecz jako pobożni katolicy, modlitwą i łzami naprawiając zniewagę wyrządzoną Matce Najśw. przez owych bezbożników.

Kościół zbyt ostrożnym jest w przyjmowaniu faktów które noszą na sobie znamię nadzwyczajności; dla tego surowa inkwizycya roztrząsać będzie autentyczność tego zdarzenia.

Zagadka.

Płynie pierwsza, bo jest rzeka,
Drugą się różni człek od człeka,
Chroń się dobrze od całego,
Byś nie padł ofiarą jego.
(Rozwiązanie nastąpi w Nr. 27.)

Rozwiązanie zagadki z Nr. 25. *Zalew.*

Nakładem i drukiem odpowiedzialnego Redaktora Teodora Heneczek w Niemieckich Piekarach.